



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

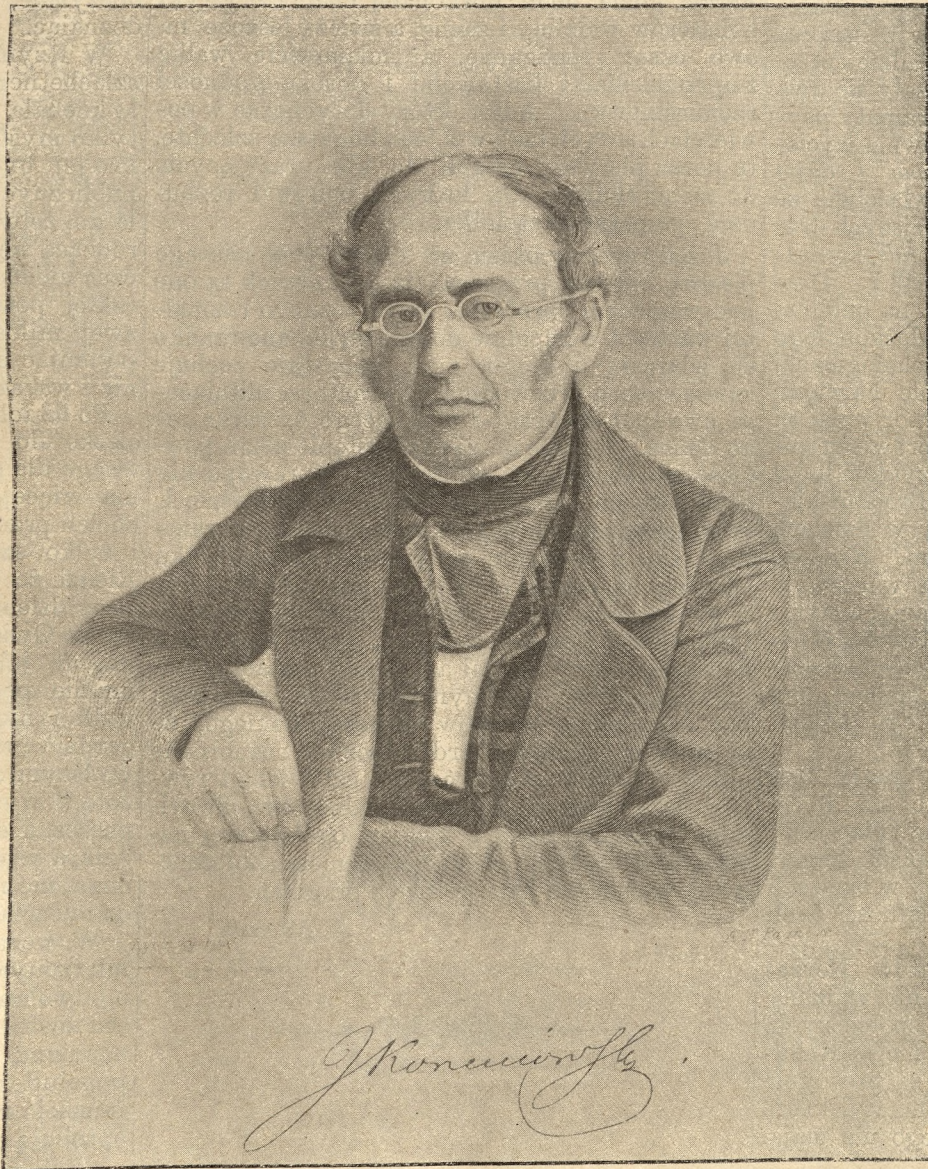
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## JÓZEF KORZENIOWSKI.

(W setną rocznicę urodzin).

Sto lat upływa 19-go marca r. b. od chwili, gdy w Brodach, miasteczku galicyjskiem, ujrzał światło dzienne jeden z najwybitniejszych naszych dramaturgów i powieściopisarzy Józef Korzeniowski, a chwilę tę przypominają dziś ogółowi teatry nasze przez wystawienie celniejszych sztuk zasłużonego pisarza i przypominają czasopisma, w kilku słowach kreśląc działalność jego literacką. O tej działalności pisali już studya wybitniejsi znawcy piśmiennictwa ojczystego: Karol Widman, Leopold Winkler, Adam Rzażewski, Henryk Lewestam, Walerya Marrené, Klemens Kantecki, wreszcie ostatnie i najpełniejsze studjum, doskonale charakteryzujące kierunek twórczości, cechy talentu naszego pisarza i tło epoki, na którym się ów talent rozwijał, skreślił Piotr Chmielowski. W obecnej tedy wzmiance pozostaje nam jeno przypomnieć czytelnikom „Bluszczu” ważniejsze szczegóły biograficzne Korzeniowskiego i rzucić okiem na całokształt prac jego, których cyfra jest bądźco bądź bardzo pokaźną, gdyż dramatów i komedij mamy przeszło pięćdziesiąt, utworów powieściowych



trzydzieści sześć, a oprócz tego kilka rozpraw naukowych.

Początki nauk pobierał Korzeniowski najpierw w rodzinnych Brodach w szkole normalnej (wyższej elementarnej), następnie rok uczęszczał do gimnazjum w Zbarażu, a potem w Czerniowcach, na koniec w Krzemieńcu, gdzie po jedenastoletnim pobycie ukończył liceum. W r. 1819 przybył do Warszawy w charakterze wychowawcy ośmioletniego wówczas Zygmunta Krasieńskiego i tu poraz pierwszy wszedł w sferę literacką ówczesnych klasyków warszawskich; atoli po kilku miesiącach skutkiem naprężonych stosunków z dumną matką swego ucznia rzucił tę posadę, a natomiast otrzymał inną przy bibliotece Zamojskich. Ożeniwszy się w tym czasie z Moniką Vogel, córką profesora budownictwa w szkole aplikacyjnej i korpusie kadetów, w r. 1823 dzięki protekcji kuratora Czartoryskiego objął katedrę wymowy i poezji po Aloizym Felińskim w Krzemieńcu, gdzie pozostawał do czasu zamknięcia liceum, poczem otrzymał posadę profesora łaciny i starożytności rzymskich w otwartym natomiast uniwersytecie w Kijowie, z kąd w r. 1838 był przeniesiony na posadę dyrektora gimnazjum w Charkowie, gdzie w ciągu ośmioletniego urzędowania umiał sobie zyskać ogólny szacunek i poważanie, jako człowiek światły i sumienny wykonawca swych obowiązków. W r. 1846 przeniósł

się na stały pobyt do Warszawy, gdzie został najpierw dyrektorem gimnazjum, a następnie wizytatorem szkół Królestwa Polskiego i członkiem Rady wychowania, zaś od r. 1861 dyrektorem Wydziału Oświecenia w Komisji rządowej wyznań i oświecenia publicznego. Na tem stanowisku, jako stanowczy zwolennik systemu Wielopolskiego, rozpoczął razem z nim pracę około reformy szkolnictwa krajowego. W tym celu napisał obszerny memoriał o stanie szkół w Królestwie i o sposobie ich zreformowania, a następnie ułożył całkowitą ustawę edukacji publicznej w r. 1862; atoli, już w r. następnym z powodu choroby musiał podać się do dymisji i natychmiast wyjechać na kurację do Drezn, gdzie 17-go września tegoż (1863) r. zakończył życie.

Pierwszym utworem naszego pisarza była *Oda na rok 1815*, wiersz czysto klasyczny, drukowany w *Tygodniku wileńskim*, potem następuje kilka innych w tym samym duchu wierszy i listów poetycznych, pisanych podczas pierwszego pobytu w Warszawie, gdzie Korzeniowski, zetknąwszy się z Brodzińskim i Morawskim, począł stopniowo, nieznacznie, może bezwiednie nawet ulegać wpływowi romantyzmu. Po tych młodzieńczych próbkach poetycznych następuje szereg dramatów, z których pierwszym był, jak twierdzi Chmielowski, dramat 5-cio aktowy klasyczny *Pelopidowie*, a następnie także klasyczna *Zitwa pod Mozgawą*. Pierwszemi dramatami, brzywiącymi z dotychczasową klasyczną jednością czasu i miejsca działania, były *Klara* i *Anielka*, napisane wierszem białym i powstałe pod wpływem dzieł Szekspira i Szyllera, które w owym czasie Korzeniowski pilnie odczytywał. Potem ukazał się *Mnich*, historyczny dramat, którego bohaterem jest Bolesław Śmiały, a następnie *Dymitr i Maryja*, tej samej, co i powieść Malczewskiego treści, wreszcie *Piękna kobieta*, osnuta na podaniu angielskiem. Wszystkie te utwory znane były ogółowi z wydania książkowego, ukazując się nie na scenie najpierw, ale w druku; dopiero dramat *Piąty akt*, napisany w r. 1833, był wystawiony na scenie lwowskiej w r. 1836 i już stanowczo utrwalił sławę Korzeniowskiego, jako autora dramatycznego, jakkolwiek nie wolny był od wielu braków zwłaszcza w przeprowadzeniu akcji i w układzie części składowych. Wkrótce potem ukazały się dwa o wiele już lepsze od poprzednich dramaty psychologiczne ze staranniejszym nierównie wycienianiem charakterów: *Dziewczyzna i dama* i *Umarli i żywi*, a po nich najlepszy właściwie ze wszystkich dotychczasowych i późniejszych dramatów Korzeniowskiego *Karpaccy górale*, napisany w r. 1840, a wydrukowany w 1843 r. Dramat ten wywarł ogromne wrażenie na publiczności nietylko wprawdzie z powodu doskonałego przeprowadzenia akcji, prawdy psychologicznej w odtwarzaniu charakterów i wogóle harmonii w układzie, ile raczej dlatego, że autor wziął tu temat i tło ludowe, jakkolwiek bohaterowie utworu przemawiają niejednokrotnie językiem ludzi wykształconych (jak i w sielance Brodzińskiego), co w dzisiejszej dobie realizmu w dziełach sztuki jest już stanowczo rażącym. *Karpaccy górale* byli kulminacyjnym punktem w rozwoju twórczości dramatycznej naszego pisarza; wszystkie napisane potem dramaty, jak: *Andrzej Batory*, dramat historyczny, *Sąd przysięgłych*, *Izabela d'Alamonte* i t. d., są już o wiele słabsze pod względem naturalnego rozwoju akcji, kolizji dramatycznej i psychologii bohaterów.

Do tematów ludowych już nigdy potem Korzeniowski nie wrócił, a obracając się wciąż w sferze szlachty i arystokracji, raz tylko jeszcze sięgnął do warstw niższych i napisał dramat wierszowany p. t. *Cyganie*, malujący w barwach dość żywych i poetycznych namiętności tych ludzi.

Charakterystyczną cechą dramatów Korzeniowskiego jest brak swojskości: nie widzimy w nich żadnych prądów i kwestyj społecznych, ani też wśród całej masy bohaterów nie spotykamy ludzi o cechach narodowych, są to wogóle ogólnoludzkie charaktery, jak i tematy, które z gruntem narodowym nie wspólnego nie mają.

Natomiast komedye naszego pisarza są bardziej swojskie; w nich wyprowadza on na scenę charaktery narodowe, ośmieszając zazwyczaj najrozmaitsze wady i słabostki i biorąc wzory przeważnie ze szlachty Wołynia, Ukrainy i Podola, którą, jak i Kraszewski, znał najlepiej, obcując z nią przez czas dłuższy. Do najwcześniejszych komedyj Korzeniowskiego należą: *Doktor medycyny*, *Fabrykant*, *Stary mąż*, *Zydzi* (1843) i t. d. W nich widzimy tak samo, jak i w dramatach, stopniowy rozwój talentu autora, który staje się coraz baczniejszym obserwatorem wad swego społeczeństwa. Najlepszą komedią jego jest *Panna mężatka* (wystawiona na scenie w r. 1844) pod względem budowy i doskonale z natury pochwyconych postaci; późniejsze są już słabiej wykonane, jakkolwiek ze względu na humor nieposłednie zajmują miejsce. Pracując na polu dramatycznym, Korzeniowski jednocześnie począł próbować sił swych w zakresie powieści. Pierwszą powiastką jego, napisaną podczas pobytu w Kijowie, był utwór miernej wartości p. t. *Anielka*, potem ukazało się kilka jeszcze również krótkich opowiadań, jak np. *Dobrze i to wiedzieć na te ciężkie czasy*, *Wtorek i piątek*, *Egzekwie* i t. d., rzeczy wogóle słabsze. Pierwszą natomiast większą powieścią jednotomową, która zyskała szerszy rozgłos i rozbudziła większe zainteresowanie ogółu, był *Spekulant* (1845), w którym autor umiał doskonale pochwycić charakterystyczne rysy człowieka samolubnego, egoisty i rozrzutnika, pragnącego poprawić swoje interesy majątkowe przez ożenienie się z bogatą, a kochającą go silnem czystem uczuciem miłości młodą dziewczyną. Następna powieść *Kolokacya* przewyższa poprzednią swoją tendencją społeczną i większą rozmaitością charakterów, do których dostarczyła autorowi wzorów szlachta bogatsza i uboższa. Przeważnie widzimy tu uwydatnione ujemne jej strony: głupotę, próżniactwo, niedbalstwo, pyszałkowatość, lekkomyślność i rozmiłowanie w cudzoziemczyźnie. Potem następuje szereg innych rozmaitej wartości artystycznej utworów powieściowych, jak: *Wędrowni oryginalni*, *Tadeusz Bezimienny*, *Garbaty*, a wśród nich najlepsza powieść Korzeniowskiego *Krewni*, gdzie obok doskonałej charakterystyki bohaterów widzimy i zacząć, a świeżą jeszcze na owe czasy tendencję, a mianowicie walkę z uprzedzeniami kastowemi i obronę godności rzemieślnictwa. Autor, który dotychczas w powieściach swych malował jeno bogatszą szlachtę, tu poraz pierwszy zstąpił do klas pracujących, do rzemieślników, dla których usiłował rozbudzić sympatyę czytelnika.

Jeżeli rzucimy okiem na całość prac naszego pisarza, musimy przyznać, iż, jakkolwiek są one pod względem obrobienia artystycznego rozmaitej wartości, a zupełnie dobrze wykonane rzadko się zdarzają u niego, atoli wszystkie cechuje zawsze znaczna przewodnia myśl autora, miłującego swe społeczeństwo i pragnącego szczerze jego dobra. Usiłuje on zawsze potępić złe, a podnieść moralną stronę człowieka. Wprawdzie nie objął on, jak np. Kraszewski, w powieściach swoich wszystkich warstw społecznych, a zamknął się przeważnie w jednym tylko kółku szlachty bogatszej, ale i tu uwydatnił zwłaszcza w powieściach sporo zmysłu spostrzegawczego i odmalował liczne charaktery, jakkolwiek znów z drugiej strony nie dał ani jednej postaci prawdziwie typowej. Godnym jest także uwagi i ten rys znamieny utworów Korzeniowskiego, że w nich spotykając bardzo liczne i różnorodne objawy natury pojedynczego człowieka i również liczne wady i słabostki jednostek, nie widzimy żadnych myśli i kwestyj ogólniejszej natury, które byłyby odzwierciedleniem społecznego życia narodu, jego potrzeb i pragnień.

J. Nitowski.

## ASNYK JAKO AUTOR DRAMATYCZNY

SZKIC

P. CHMIEŁOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

III.

Dramatów napisał Asnyk trzy—i to w niewielkich odstępach czasu. Pierwszy z kolei wyszedł p. t. „Cola Rienzi, dramat historyczny z XIV wieku w pięciu aktach prozą oryginalnie napisany“ (Kraków, 1873 str. 188) i był przedstawiony na scenie krakowskiej 19 kwietnia tegoż roku.

Jestto piękny i rozległy obraz upodlenia, w jakim znajdowały się Włochy wieku XIV-go, kiedy „lud ciemny i uciemiany“ nie miał nawet wspomnień wielkiej przeszłości swojej, kiedy „samo imię Rzymianina stało się jednoznacznie z imieniem niewolnika,“ kiedy naród „okryty pogardą i szyderstwem,“ konał „w zgniliznie i zepsuciu, nie mogąc umrzeć jeszcze.“

Na tem ponurem tle ukazuje nam poeta postać Rienzego, który powziął wielką myśl przywrócenia potęgi swemu krajowi przez zjednoczenie wszystkich państewek włoskich. Pozyskawszy zwolenników dla swego zamiaru, zostaje on okrzyknięty przez lud rzymski trybunem i zapowiada nową erą, głosząc, że „pragnie wolności, ale wolności rozumnej, opartej na poszanowaniu praw i wzajemnej wyrozumiałości,“ że przedewszystkiem starać się będzie zaszczerpić ład i karność i wskrzesić poczucie cnót obywatelskich.

Dummem atoli i bezwzględnie postępowaniem zraża wielu ze swych dawnych wielbicieli, a popadłszy w zatarg z papieżem, zmuszony jest ujść z Rzymu i tułać się długie lata na obczyźnie, różnych, bardzo zmiennych losów doznając.

W Rzymie zostawił żonę Paolę pod opieką szlachetnego swego przyjaciela, Gwidona. Paola kochała Rienzego, lecz chciała, by on o niej tylko myślał, nią się wyłącznie zajmował; przykro jej było widzieć się zaniedbaną dla spraw publicznych; gdy Rienzi Rzym opuszczał, błagała go, żeby ją zabrał z sobą, czuła już bowiem rodzącą się w sobie skłonność do Gwidona. Podczas nieobecności męża skłonność ta wzrosła do takiej potęgi, że Paola nie wahała się wyznać swej miłości Gwidonowi. Ale ten, szlachetnie pojmując obowiązek opieki, nie przyjął wyznania i wskazał Paoli drogę powinności.

Po latach tułactwa wraca Rienzi znów zwycięsko do Rzymu, ale tu już nie zastaje dawnego dla siebie nastroju; niechętnych i wrogów ma więcej, aniżeli przyjaciół. Byli tacy, co chcieli przenieść godność trybuna na Gwidona, i tylko szlachetności przyjaciela zawdzięczał Rienzi, że bunt przeciw niemu nie wybuchnął. Lecz Rienzi o tem nie wie, przeciwnie podejrzewa Gwidona, staje się względem niego nieufnym, jak wogóle względem wszystkich, co mu nie pochlebiają. Bo charakter jego wśród walk i nieszczęść spaczył się. Zaczął Rienzi gardzić „sumieniem zwykłych ludzi,“ chciał być wyższym „nad ból i trwogę, nad wstyd i zgryzotę,“ wyższym „nad wszelkie prawo.“ Dopuszczał się okrucieństw, by postrachem rządzić, a wreszcie, lubo zawsze wysoko cenil Gwidona, nie mogąc na nim wymódz wydania tych, co mu władzę ofiarowali, skazuje go na śmierć.

Wówczas dostaje cios w samo serce, cios wymierzony przez żonę, która napróżno błagając o odwołanie wyroku na Gwidona, gdy wyrok ten został spełniony, wybuchła energicznym wyznaniem: „Dość lez, dość upokorzeń! Rienzi, popełniłeś straszną zbrodnię, a ja jej nie mogę pomścić na tobie tak, jakbym chciała: jednak spróbuję cię zranić tam, gdzie cię ranić można.

to jest w uczuciu twojej dumy i pychy. Mówiłeś przed chwilą, że żona Rienzego nie może być posadzoną o inną miłość. Myliłeś się, jam kochała tego człowieka, któregoś zamordował. Gwido nie był moim kochankiem, to prawda; ale dlatego tylko, że nim być nie chciał... Ha! wzdrygasz się, bledniejesz z gniewu; ugodziłam cię więc nareszcie nie w serce, którego nie masz, ale w pychę i zarozumiałość twoją... Ja się urągam i z twojego gniewu i pogardzam twemi groźbami... Pomiędzy nami wszystko skończone, wszystko—prócz nienawiści... Patrz, oto zrywam ten pierścień, który pali moją rękę i depczę go pod nogami—uciekam zpod tego dachu, gdzie obecność twoja zaraża jadem powietrze, a na pożegnanie rzucam ci ostatnie przekleństwo. Przeklinam z głębi duszy ciebie i wszystkich, co cię otaczać będą, przeklinam wszystko, co zrobisz, wszystko, czego się dotkniesz, wszystko, o czem pomyślisz.“

Rienzi nie ulega pod tym ciosem moralnym, bo wyniosła jego dusza, zajęta myślą o przywróceniu do życia ojczyzny w pól umarłej, jednostkowym bólem się nie poddaje; ale widząc, jak wszyscy od niego się usuwają, jak coraz bardziej jest osamotnionym, zaczyna wątpić o możliwości urzeczywistnienia swego zamiaru i po raz pierwszy w życiu popada w gorzką zadumę.

Wreszcie tłum podburzony obala swego trybuna, który ginąc jeszcze myśli o swojej idei, chociaż wyznać musi, że nic nie zdziałał. „W gruzy się—powiada—rozsypują dumne marzenia moje—i nie pozostanie po mnie nic, jak tylko pamięć wielkich zamiarów i wielkich przewinień. Ale być może, iż myśl moja przetrwa wieki i że to wielkie dzieło zjednoczenia rozdartych części mojej ojczyzny, inne, czystsze ręce podejmą i przeprowadzą.“

W streszczeniu tem uwzględniłem tylko postacie główne, pomijając mniej ważne i nie mówiąc o przedstawicielach tłumu, o scenach zbiorowych, z których parę należy do najlepszych w naszej literaturze dramatycznej. Poeta nadał swym osobistościom kształty wspaniałe, posagowe, ale zbyt spokojne naogół, nie wrzące tem życiem, jakie przypuszczamy w takich ludziach i w takich czasach. Ztąd potrzeba pilniejszego wpatrzania się w te figury, ażeby poznać ich życie wewnętrzne, ażeby ich nie posądzić o bezkrwistość. Powściągliwość dykcji, która kiedyniekiedy tylko namiętnym biegnie rytmem, przyczynia się także do obniżenia wrażenia, jakie tkwią w samych sytuacjach. Brak też należytego zesrodkowania akcji, opowiadania i zbyt długie rozmowy są wadami kompozycji tego utworu, tak bogatego i w położenia dramatyczne i w myśli rozumne i w uczucia podniosłe. (Obszerniejszą ocenę znaleźć można w „Przełędzie polskim“ r. 1873, zeszyt majowy).

Po „Rienzim“ nastąpił w r. 1875 „Żyd, dramat współczesny w trzech aktach“ (Kraków, Nakład Adolfa Dygasińskiego i S-ki, str. 80) prozą pisany. Treścią jego jest niedoprowadzony do skutku zamiar zemsty ochrzczonego semity Jakóba Weinberga. Odrzucona miłość zaprawiła serce jego niewysłowioną goryczą. Przyczynę tego odrzucenia widział, słusznie czy niesłusznie, w swoim pochodzeniu. „Od lat dziecinnych—powiada—piętno mego rodu wystawiło mnie na pogardę i szyderstwa wasze. Napróżno jedna wiara łączyła mnie z wami; chrzest nie miał siły obmyć pierwotnego grzechu pochodzenia. Napróżno na równi z wami czułem się synem jednej ziemi i kochałem ją jak matkę—ziemia ta była dla mnie macochą, a jej dumne dzieci odpychały mnie ze wstrętem i zniewagą. Nie dla mnie przyjaźń, nie dla mnie miłość, nie dla mnie stanowisko służącego krajowi obywatela. W oczach mego plemienia stałem się renegatem, wobec was byłem tylko żydem i przybłądą, któremu jedynie pieniądz okupuje kłamana grzeczność i przedajną życzliwość.“

Pokochał Weinberg Natalia, szlachciankę, rodzicem jej, będącym w kłopotach gospodarczych, dopomógł czynnie; był obsypywany względami i sądził, że Natalia mu sprzyja; gdy się jednak oświadczył, został odepchnięty dla te-

go, jak sądził, że rodzice jej wyszli już z kłopotów i nie potrzebowali nadal „żyda.“

Niebawem potem przyjaciel Weinberga, towarzysz broni, otrzymał rękę Natalii. Od tej chwili rozpoczyna się plan zemsty. Władysław był lekkomyślny, tracił znaczne sumy, naruszał depozyty, sprzedawał tajemnie brylanty żony, ażeby uniknąć hańby. Weinberg ułatwiał mu pożyczki, ażeby czempredziej doprowadzić go do ruiny, zbezczeszczyć w oczach żony i znaleźć sposobność ofiarowania jej usług swoich. Natalia rzeczywiście, oburzona postępowaniem męża, zająwszy się przytem Augustem Skierskim, birbantem, który w młodości fałszował weksle, ale był już na drodze poprawy, postanowiła w chwili rozdrażnienia i podniecenia, opuścić Władysława.

(Dokończenie nastąpi).

## SIELANKA.

Taki sen to nie przelewki...  
Drży mi serce, płonie liczko:  
Stałam-ci się z prostej dziewczki  
Księżniczką.

Przyhołubił mnie w swe ściany  
Stary zamek na skał szczycie;  
Miałam pokój wyłacany  
— Słyszycie?

Miałam perły, dyamenty,  
Biały jedwab koszuliną  
Łożem puch łabędiom wzięty  
— A ino!

Było, w oknie sobie stoję  
Na wysokiej bardzo wieży,  
A w dolinie pełzą roje  
Rycerzy.

Promienieją młode lica,  
Wzrok każdemu aż się pali;  
Jak zwierciadło lśni zbroica  
Ze stali.

Ten i ów poziera do mnie,  
Białą ręką wąsik muska;  
Ten i ów szle z dali do mnie  
Całuska.

Woła jeden: Bywaj, droga!  
Najjaśniejsza z gwiazd na niebie...  
Będę co dzień prosił Boga  
O ciebie.

Woła drugi, uważacie:  
Co się stanie trudno dociec,  
Lecz spróbuję, czy mi da cię  
Twój ojciec.

Woła trzeci:—Słuchaj, luba,  
Jestem z tych co się nie boją,  
Czy ich czeka raj, czy zguba...  
Bądź moja!

Pierwszy poszedł na pacierze,  
Przed tron króla drugi leci...  
A tymczasem już mnie bierze  
Ten trzeci...

Dziwo, dziwo! rzeczce stara.

Gdzie tam dziewce być królewną!  
No, a przecież sen nie mara,  
Na pewno!

Wiem, kto wczoraj był u księdza,  
(Sam powiedział mi dobrodziej);  
Wiem, kto ojców wciąż jak nędza...  
Nachodzi.

Ino to mi w mgłę zasnute  
Ino nie wiem, kto to taki,  
Pod twem oknem w nic zgniótl rutę  
I maki...

St. Rossowski.

# NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg),

Roman uczynił zadość życzeniom kuzynki, a potem, mając jeszcze dość czasu do obiadu, udał się do szkoły.

Poranna lekcya właśnie się skończyła, i dzia-  
twa hurmem wychodziła tłocząc się we drzwiach  
z hałasem.

Roman zastał Kręckiego w pokoju. Przywi-  
tawszy się, zasiedli do gawędki; Roman zauwa-  
żył, że Władysław wygląda bardziej zgnębiony,  
ale uwagę tę zatrzymał przy sobie.

— Przybywam do pana z pewną propozy-  
cją,—rzekł w ciągu rozmowy. — Miałem zamiar  
przyjść zaraz po przyjeździe, ale moja kuzynka  
mnie zatrzymała... wiesz pan zapewne o pannie  
Janinie?

— O pannie Janinie?—zawołał porywając się  
z miejsca i mieniając się na twarzy dziwnie. — Co  
takiego...

Roman spojrział uważnie na niego.

— Nic, złego, przeciwnie... chciałem panu po-  
wiezieć, że pannie Janinie jest lepiej, prawie  
już zupełnie zdrowa...—rzekł powoli, starając się  
ukryć wrażenie jakie na nim przestraszony Władysław  
uczynił.

— Och!...—westchnął z pełnej piersi Władysław.  
— O tem wiem... przeraziłem się, sądząc...  
albo ja wiem co!

Roman walczył chwilę sam z sobą, bladł i usta  
przygryzał.

— Panie Władysławie, — rzekł wreszcie cich-  
szym jak zwykle ale dziwnie brzmiącym głosem,  
zawsze bardzo powoli.—Pan ją kochasz!...

Ręka Władysława zacisnęła dłoń Romana kur-  
czowo; zwrócił twarz swą zmienioną ku niemu,  
i patrząc mu blisko w oczy:

— Zkąd pan wiesz o tem?—szepnął przez za-  
ciśnięte zęby.

Roman zaczerpnął powietrza, dławilo go coś  
w piersi tłumiąc głos, a mówić musiał, i musiał  
zadać cios temu biednemu młodzieńcowi, którego  
oczy wpiły się w niego, czekając odpowiedzi.

— Wiem...—wyrzekł wreszcie bardzo cicho.—  
domyślałam się, bo... i ja ją... kocham!...—skończył  
szepem, a raczej wyrzucił ze ściśniętego gardła  
ten wyraz ostatni.

Ręka Władysława zacisnęła się mocniej na  
dłoni Romana; drugą zakrył oczy, i odwrócił się  
od niego zwolna, chwiejąc się na krześle jak  
człowiek pijany... Milczący i głęboko wzruszo-  
ny Roman, czuł jak uścisk dłoni Kręckiego wol-  
nieje, aż wreszcie opadła ona bezwładnie... Nie  
dochodził go ani jęk żaden, ani westchnienie; od-  
wrócona postać młodzieńca z zakrytą twarzą  
mówiła jednak wiele, tak wiele, że Roman nie

mógł dłużej wytrzymać; wstał, i położył mu rękę na ramieniu.

— Władysławie, — rzekł opuszczając mimowoli wyraz „pan,“ — Władysławie, nie rozpaczaj! nie przyszedłem tu jak kat, znęcać się nad tobą, ale jako przyjaciel... podzielić się wspólnym cierpieniem... pomówić otwarcie... gdyż nasza dola podobna. Tak samo jak ty, tak i ja!.. nie mam żadnej nadziei!

Kręcki rzucił się gwałtownie, wstał, i uśmiech szyderczy ukazał się na pięknych jego ustach, szeptał je:

— Tak samo! — wybuchnął. — Nie równaj się pan ze mną! co pan, to nie ja... ja, w położeniu którego każde uczucie szaleństwem się zowie... Pan nie masz nadziei?... ha, ha! jakbyś nie był pewny, że z twoją w świecie pozycją zdołdziesz wszystko!

W rozdrażnieniu swoim zapomniał, że podobnymi słowy uwłacza kobiecie, którą nad wszystko ukochał.

— Władysławie! — wołał Roman z rozpazą, widząc jakie jego słowa fatalne wywarły wrażenie. — Uspokój się! zastanów się co mówisz!

Ale on biegał jak wariat po pokoju, zaciskając pięście, szarpiąc odzież na sobie; oczy mu krwią nabiegły; a przez usta szły wyrazy bez związku, jak w gorączce.

Roman opuścił ręce, pogrążając się w ponurej zadumie. Rozpacz Władysława i szalone wybuchy zaskoczyły go niespodzianie, bo choć przeczuwał stan jego serca, nigdy mu na myśl nie przyszło, aby rzeczy tak daleko zaszły. Cóż będzie, jeżeli w razie — jak czasami miał nadzieję — serce Janiny zwróci się ku niemu? On chyba życie sobie odbierze...

Nagle się ocknął; jako człowiek silnej woli i rychkich postanowień, miał już swój plan, który przeprowadzić musi, choćby go życie kosztować miało! zbliżył się do Kręckiego.

— Bądź zdrow! — rzekł silnym głosem, brzmącym stanowczością.

Władysław stanął; czy go ten ton uderzył, czy myśl Romana przeczuł! stanął i spojrział nań błędnymi oczyma.

— I cóż!... — rzekł na pół przytomny. — Wyznaj jej swą miłość...

Ręka Romana z całą siłą zaciężyła mu na ramieniu.

— Nie bluźnij!... Nie chcę ci stawać na drodze... wyjeżdżam!

Słowa te wypowiedziane były tonem ostrym, urywanym, i Bóg widział ile go kosztowały, ale silny człowiek nie zdrzął nawet. Piękne, szeroko otwarte oczy Władysława spoczywały wciąż na jego twarzy, mieniając się różnie... zawarł je wreszcie pomału, a z ust wyszło westchnienie do jęku podobne. Osłabł tak, że Roman podtrzymać go musiał i podprowadzić do kanapy, na której usiadł obok niego. Milczenie było długie, bo i Roman czuł potrzebę spoczynku po wysileniu prawie nadludzkim jakiego dokazał.

Władysław pierwszy przerwał milczenie.

— Panie Bronimirski, — rzekł drżącym jeszcze głosem. — Zdaje mi się, że po tem co zaszło między nami... chyba z bronią w ręku rozprawić się musimy...

Roman obudził się jak zę snu, tak był od tej myśli daleki.

— Co mówisz? — rzekł, opuszczając już z umysłu etykietalne słowo „pan.“ — Kto kogo obraził? szalony!

— Może nie miałeś pan złej intencji... jednak, mówiąc o wyjeździe ukazałeś mi pan to, co było moim obowiązkiem...

Władysław silił się na zimną krew, co z jego temperamentem trudno się pogodzić dawało; silił się także aby być obrażonym, lekceważącym, a nawet szorstkim, ale chybił celu... dobra, zana jego natura nie umiała się do tego tonu nagiąć.

Roman widział te daremne wysilenia i smutny uśmiech rozjaśnił na chwilę posępne jego rysy.

— Chcesz we mnie wmówić, że się obraziłem, — rzekł łagodnie, — ale ja nie chcę tego rozumieć, bo gdyby tak było, czyżbym sobie pozwolił nazywać cię tak, bez etykiety?

Płomień uderzył na twarz młodzieńca.

— Upokarzasz mnie pan coraz więcej! — zawołał, powstając sztywny, wyzywający. — Chcesz mi dać do pocucia, że z takim dzieckiem, z takim głupcem nie uznajesz się godnym stanąć do walki o śmierć lub życie! Zabijasz mnie swoim lekceważeniem, oblekając je w pozory dobroci! Och! ale ja cię zmuszę!

Ponury wyraz zasepił znowu wymowną twarz Romana. Odsunął wyciągniętą groźnie ku niemu rękę Władysława, i ścisnął ją silnie.

— Pomówmy spokojnie, chcesz pan? — rzekł zmęczonym bardzo głosem. — Pragniesz pojedynku? dobrze, nie mam nic przeciwko temu, ale Bóg wie, że nie wiem przyczyny... Jednak, ponieważ według mnie, z każdej rzeczy nie wyrozumowanej dokładnie, głupstwo zrodzić się może, pozwól pan mi mówić. Przyszedłem tu w najlepszych zamiarach, pociągnięty szczerą przyjaźnią do pana, a choć wiedziałem dawno co się święci... bez cienia zazdrości... Doszliśmy do wniosku, że kochamy jedną kobietę a żaden z nas pochwalić się nie może, iż ma większą nadzieję... szanse nasze równe, gdyż mam przekonanie, że panna Janina pójdzie za głosem serca a nie... pieniędzy. Chciałem iść z panem ręką w rękę, a w końcu... usunąć się, jeżeli byś pan to uznał za stosowne, wyciągałem dłoń przyjazną, i ta przyjaźń podyktowała mi słowa, które pan w rozdrażnieniu swoim przyjąłeś inaczej... pragnąłem...

— Dość! dość! — przerwał Władysław poruszony do głębi. — Upokarzasz mnie znowu swoją wspaniałomyślnością, ale ją teraz rozumiem. Dość! jesteś szlachetny, dobry... przebac mi, jeżeli możesz... Romanie!...

Pochylił się i głowę wsparł na jego ramieniu, a Roman objął go jak dziecko w uścisku.

— Więc już się zabijać nie będziemy? ty szalona palko! — pytał, pochylając się ku niemu z rzewnym wyrazem.

Władysław podniósł głowę.

— Gdybym był tobą, — rzekł, — tobym wyzwiał tę „szaloną palkę“...

— I ja też tak uczynię, — potwierdził Roman. — Wyzywam cię do walki z życiem... idź śmiało i odważnie, a zwyciężysz...

Mówiąc to, patrzył w dal błyszczącymi oczyma, i z takim wyrazem, jakby wiedział, że ta walka, do której zachęcał młodzieńca, jemu będzie śmiertelną porażką. Taki wyraz miewali chyba gladiatorowie rzymscy, idąc na arenę, gdzie ich śmierć straszna czekała.

— Pójdę, z tobą! — odrzekł Władysław z mocą.

— Nie! — odparł krótko, stanowczo Roman.

— Romanie! co chcesz uczynić?

— To co mówiłem — odjadę!

Władysław rzucił się gwałtownie.

— Więc i ja także pojadę! — zawołał w uniesieniu.

Roman zupełnie wyczerpany położył znużoną głowę na obu rękach, które wsparł na stole. Milczał.

— Ty jej nie kochasz! — krzyknął Władysław. Roman poruszył się jak iskrą elektryczną tknięty, ale nie rzekł ani słowa. Czyż jego miłość mogła się równać z miłością tego młodzieńca, jego, starszego o wiele, doświadczonego i raz już zrażonego, któremu miała odkupić przeszłość zmarnowaną i wlać w niego nowe życie? Uczucie Władysława dla Janiny było pierwszym uniesieniem młodości, może wrażeniem chwili, podczas gdy on grał całą stawką życia.

Po długiej chwili rzekł głosem złamanym:

— Nie mówmy już o tem, Władysławie... nie wyciągaj mnie na spowiedź, z której żaden z nas korzyści nie odniesie... są rzeczy, o których lepiej milczeć...

Władysław znów wpadał w uniesienie.

— Milczeć i cierpieć! — zawołał. — I dla czegoż to ty mianowicie masz cierpieć, a nie ja? Czy dla tego, żeś silniejszy, lepszy, czy dlatego, że posiadasz całkowite prawo do dostąpienia szczęścia? Nie, Romanie! powinienem, muszę wybić sobie te mrzonki z głowy! Pokochałem ją mimowiedzy, mimowoli, ale szalony byłbym, gdybym osmielił się marzyć o połączeniu z nią... Biedna! czyż to by było szczęściem dla niej?... bo cóż za los mogę jej ofiarować, co za przy-

szłość, kiedy dla mnie samego ona nie przedstawia żadnych widoków!

Pomimo tak ważnych argumentów Roman upierał się przy swoim zamiarze wyjazdu. Dysputa trwała tak długo, aż spostrzegli się, że ciemność zalega pokój, słońce zachodziło. Stało wreszcie na tem, że Roman zostanie jeszcze czas jakiś, aż dopóki Janina nie wyzdrowieje i Władysław nie przekona się jakie są jej uczucia względem niego. Ten ostatni warunek położył Roman *sine qua non*, a Kręcki po długim oporze przyrzec musiał.

Tymczasem kazał nastawić samowar, przypomniał sobie, że obaj byli bez obiadu i uspokojeni nieco zasiedli do herbaty, nie ustając w gawędzie.

— Czy mogłem przypuścić, — mówił Roman, — że dziś z tobą taką walkę stoczę. Miałem całkiem co innego na myśli, przyszedłem z propozycją, którą ci uczynić chciałem, a teraz nie wiem...

— Propozycją? — przerwał Władysław. — Cóż to takiego?

— Boję się poprostu mówić ci o tem, — odparł Roman z wahaniem, uśmiechając się nieco. — Gotów jesteś posadzić mnie, żem miał plan gotowy do usunięcia cię ztąd...

— Zdaje mi się, że to nieuniknione, bądź co bądź... — rzekł Kręcki w zamysleniu. — Proszę cię, powiedz mi.

— Jeden mój znajomy pisał do mnie, zapytaniem, czy nie znam jakiego młodego człowieka, któryby mógł mu towarzyszyć w podróży jakąś przedsięwziąć, oraz służyć mu za sekretarza...

Władysław milczał, na twarz płomień wybiegały i gasły.

— W jakim wieku ten twój znajomy? — zapytał stłumionym głosem.

— Lat przeszło czterdzieści, człowiek wykształcony, uczony prawie, choć się przed tem bronił... nieżonaty, noszący jedno z pierwszych nazwisk w kraju, i posiadający olbrzymią fortunę.

Władysław zamyslił się znowu.

— Jaki cel ma ta podróż? — zapytał po długiej pauzie. — Dokąd?

Roman znowu się zawahał.

— Mów śmiało! — wyrzekł Kręcki. — Przecie odemnie zależy przyjąć lub nie...

— Książę ma zamiar zwiedzić całą Azję... — odparł Roman, czyniąc sobie widoczny przymus. — Jedzie najprzód do Egiptu, do Persyi, Indyi, a nawet do Chin i Japonii. Podróż ma trwać dwa lata... Sekretarz będzie miał wiele czasu wolnego... Książę pytał mnie czy nie może to być jaki akademik, bo są zwykle ludzie wykształceni, a przytem miałby czas przygotować się do jakiego potrzebnego mu w przyszłości egzaminu... Pomyślałem o tobie, — dodał tonem naturalnym — gdyż uratowałoby cię od wstąpienia do jakiegoś nauzyckiego, do którego nie widzę w tobie powołania, i dało ci możność urządzenia życia w inny, przyjemniejszy sposób — znajomość i protekcja księcia także coś znaczą...

Władysław milczał ukrywając twarz w dłoniach.

— Nie namawiam cię Władysławie, mówił dalej Roman, — i rad ci nie daję żadnych... Powiedziałem ci, boś sam chciałeś, a jeszcze to dodać muszę, co jest już teraz moim obowiązkiem, że i pod materyalnym względem rzecz jest bez zarzutu...

Władysław podniósł ciężką głowę i spojrział bez wyrazu.

— Wszystko jest bez zarzutu, — rzekł głosem bez dźwięku. — Pozycya jest świetna, i jutro zapewnione, a dla mnie to los niemały...

Odrzucił włosy w tył nagłym ruchem, i oczy mu zabłysły.

— Odpisz, że przyjmuję! — zawołał. — Szaleńcem byłbym, gdybym postąpił inaczej! Tu... — dodał szeptem, — nie wysiedzę nic!

Teraz znowu Roman zaczął mu przedstawiać, żeby się nie zrywał tak nagle. Był jeszcze czas do namysłu: książę dopiero w jesieni miał zamiar jechać...

Stanoło więc na tem co z początku uradzili: obydwaj zostawali, a z rąk Janiny miał paść wyrok, skazujący jednego na wygnanie.

— Jeżeli... ty zostaniesz, — skończył Roman z pogodnym wyrazem rezygnacji na twarzy, — ja mam zamiar zająć twoje miejsce jako sekretarz księcia...

Władysław nie już nie odrzekł ale uśmiechnął się smutnie. Co by to była powiedziała dumna hrabina Żarnowiecka, gdyby wiedziała jak tych dwóch ludzi ubiegało się o rękę jej wychowanki, panny bez posagu, będącej u niej... na lasce!

## VIII.

Hrabina z córką przyjechała w sąsiedztwo z wizytą.

Roman się wymówił od towarzyszenia paniom, dziwnie zdenerwowany od kilku dni—od czasu rozmowy z Kręckim. Zwróciło to nawet uwagę ciotki, i pytała go czy nie jest chory? ale on zbył tę troskliwość na swój sposób, pół żartem.

Został więc, miotany niepokojem, bo słyszał, że Janina już zdrowa, wstaje, i w niedługim czasie spodziewał się ją zobaczyć... niepewność jak się względem niego i Władysława zachowa. spokoju mu nie dawała.

Ażeby rozerwać się trochę, zapomnieć trapiących myśli, poszedł do biblioteki, i zagłębił się w stare szpargały od wieków tam leżące, które dawno już miał zamiar przejrzeć. Stosy ksiąg i papierów otaczały go wokoło; zapach stęsklizny od poruszonych starożytności rozszedł się wraz z pyłem po pokoju.

Na dworze cudna była pogoda; słońce świeciło w całym blasku nad morzem zieleni, zapach kwiatów rozchodził się w powietrzu.

Roman wstał, otworzył wielkie, środkowe drzwi na balkon, i wrócił na swoje stanowisko pod drugim oknem, zagłębiając się znów między papiery.

Jakiś dokument na pół zbutwiały, po łacinie pisany, zwrócił jego uwagę, i zaczął go czytać z zajęciem.

Nagle... drzwi na lewo od wejścia, z przeciwnej strony gdzie siedział, otworzyły się zwolna i weszła Janina.

Chwiała się jeszcze na nogach; była bledziutka, mizerna, w długiej rannej sukni, z włosami spuszczone w dwa warkocze. Idąc, wystawiła rękę przed siebie, jakby nie ufając własnym siłom, i za chwilę znikła we drzwiach balkonu.

Roman skamieniał; serce mu bić przestało i mgłą zasłżył oczy; za żadne skarby świata nie umiałby ruszyć się w tej chwili.

Gdy przesunęła się jak widmo przed jego oczami i znikła, dokument wypadł z dłoni Romana, a głowa mu zwisała na piersi. Pulsa biły mu teraz przyspieszonym tętnem w skroniach, a oddech był szybki jak w gorączce.

Silą woli panując nad sobą, powstał i dłonią przetarł czoło. Refleksya wracała.

— No, no,—pomyślał sobie, zdziwiony i przerażony wrażeniami, które mu dała tak krótka chwila.—W pięknych jestem opałach... I panuję tu nad sobą! graj komedję obojętności, kiedy zdaje się, że serce wyskakuje z łona, a umysł się mąci...

Cała jego istota rwała się ku niej, tam, na balkon! Pójść, rzucić się do tych stóp malutkich, wyznać jej całe morze uczuć, które mu piersi rozsadza, a potem ująć w ramiona tę ukochaną, pieścić pocałunkami jej oczy biedne, zmęczone po przebytej chorobie, zanurzyć twarz pałającą w te włosy cudowne i patrzeć, patrzeć do nieskończoności w te rysy ukochane...

Nie!... nie wolno! nie wolno mu nawet spojrzeć na nią wymownie, nie wolno przemówić czulej... nie wolno mącić spokoju tej niewinnej duszy, aż dopóki... dopóki nie wyczyta w jej oczach to, co jedynem szczęściem będzie mu na ziemi...

— Ale czy wyczyta? czy dla niego to szczęście? Roman załamał dłonie, aż zatrzeszczały.

Obiecał Władysławowi—z własnej woli—że unikać jej będzie, że niczem nie wpłynie na jej postanowienie, więc dotrzymać wypadało.

Podjął swój dokument z ziemi i zabrał się na nowo do czytania, chcąc zapomnieć, że ona tak blisko, że od niego tylko zależało widzieć ją, usłyszeć jej głos...

Mój Boże! czy tylko jej to nie zaszkodzi, że wyszła na powietrze, tak lekko ubrana?... i siedzi tam tak długo... co ona może robić? Dreszcz nim wstrząsnął nerwowy, aż ręce się trzęsły trzymając ów dokument, którego litery skakały mu przed oczyma... Nie! on musi zabrać ją ztamtąd! a nuż by sobie zaszkodziła?... i on, tylko on byłby temu winien... sam siebie oszukiwał, wynajdując ten powód...

I nie mógł już dłużej wytrzymać! Aby nie przerazić Janiny, która wyobrażała sobie pewnie, że jest samą, narobił trochę hałasu i powolnym krokiem, zwoławszy całą siłę woli i panowania nad sobą, zbliżył się do drzwi otwartych.

Siedziała na kamiennej ławce, oparta o ścianę, a gdy usłyszała ów hałas, skierowała oczy ku wejściu, ciekawa, i to spojrzenie najprzód ujrzał Roman.

— A, to pan?—rzekła swobodnym głosem, rumieniąc się z lekka. — Sądziłam, że sama jestem w domu... mówiono mi, żeś pan z ciotką wyjechał...

Stał naprzeciw niej, sztywny i obojętny na pozór.

— Zostałem... — odrzekł przyciszonym od wzruszenia głosem, i więcej mówić nie mógł, nie patrzył nawet na nią. Oparł się plecami o kamienną balustradę, i skubał liście dzikiego wina zdobiące ją.

Janina wyglądała nieco pomieszana. Może przypomniała sobie jak się rozstali wtedy, przed jej chorobą i to ją mieszało.

— Zapragnęłam świeżego powietrza, — wyrzekła, czując, że mówić coś wypada.—Tego roku jeszcze wiosny nie widziałam...

— Obawiam się czy to pani nie zaszkodzi, — odezwał się zawsze tym samym przytłumionym głosem Roman.—Pani chorowała ciężko i długo. Jak się pani czuje teraz?

Ten przytłumiony, bezdźwięczny głos dziwił ją; spojrzała przelotnie na niego i znalazła, że zmizerniał bardzo... tak! to był wyraz cierpienia, który błakał się po jego twarzy... Taki był jakiś inny!

— Dziękuję panu...—rzekła miękko, starając się dać mu uczuć, że pytanie, które uczynił miłem jej było. — Jestem już zdrowa, o! zupełnie zdrowa. Wstyd mi żem tak długo sobą zajmowała innych...

Spora garstka oberwanych liści leżała już u stóp Romana, a on je skubał ciągle, jakby wypełniał jaką koniecznie naznaczoną robotę.

Janina zdawała się nie zważać na tę manipulację. Odetchnęła głęboko, uśmiechnęła się i znowu ukradkiem spojrzała na Romana.

— O jak to przyjemnie wracać do zdrowia!—zawołała.—Zdaje mi się, żem się drugi raz urodziła... tak mnie wszystko zachwyca, tak nęci ten świat cudowny z dziełami Twórcy!

Roman zaprzestał roboty; oparł się łokciami o balustradę i czoło wsparł na dłoni.

— Mało pani potrzeba do szczęścia, bo o ile sądzić mogę, jesteście pani w tej chwili zupełnie szczęśliwa...

Fałszywa, ironiczna nuta, brzmiała w słowach Romana. Przypomniał się Janinie ów dawny Roman, którego „wrogiem“ swoim nazywała, i zasmuciła się.

— Przykro mi, że pan nie podziela moich zapatrywań...—rzekła — nie wspominając już, żeś pan zasnął ciemną chmurą realizmu, mój chwilowy entuzjazm... Ale masz pan słuszność... lepiej na życie patrzeć z realnej strony... jak pan...

— Jak ja!—zawołał pełnym namiętności głosem i porwał się już, chcąc się zbliżyć do niej... nagle opamiętał się. Przetarł czoło dłonią i milczał chwilę, szukając równowagi moralnej, z której już o mało nie wyszedł.

— Dla czego się pan oburza? — pytała tymczasem Janina. — Czy może się mylę? a przecież tyle razy słyszałam z ust pana pesymistyczne zdania... Nie jest pan realista?

— Ja pani... — mówił unikając jej spojrzenia i wijąc się prawie pod siłą tego niewinnego wzroku,—ja... jestem dziwnie zmienny... czasami jestem poetą, czasem skrajnym realistą... to zależy od okoliczności...

Patrzyła ciągle na niego, dziwiąc się tym słowom urywanym, tej chwiejności zdań u niego, który lubił zawsze apodyktycznie się wyrażać, i temu zachowaniu...

— I od zdrowia zapewne? — skończyła przerywając mu.—Panie Bronimirski, pan byleś tak dobry zajmować się mojem zdrowiem, a sam... widzę, że musi pan być chory... a może?... zmartwiony...

Zdawało się przez chwilę Romanowi, że ta pokusa jest nad jego siły... Ona, domyslała się, że mu coś jest!... ona, miała współczucie dla niego! Bezwiednie prawie przystąpił bliżej i stanął obok niej, we framudze drzwi.

— Jaka pani dobra...—wyszeptał.

Usunęła się nieco, bo stał prawie za nią i chcąc spojrzeć na niego musiałaby głowę obrócić. Była znowu pomieszana, choć sama nie wiedziała z jakiego powodu, przeczuwała instynktem, że około niej krąży jakaś tajemnica.

Roman spostrzegłszy jej ruch, zrozumiał go inaczej.

— Pani tu niewygodnie!—zawołał z nagłą żywością.

Pobiegł do biblioteki i przyniósł ciężki fotel, który jak piórko uniósł w rękę, pomimo protestu Janiny, zachęcając ją, by zajęła na nim miejsce.

— Rekonwalescenci, — mówił zawsze z ożywieniem,—nie mają woli! Ja panią proszę, panno Janino!

Znała potęgę tej prośby! zarumieniona i więcej jeszcze niż przedtem zmieszana, uczyniła jej zażość.

— Wyznaję,—rzekła z uśmiechem,—że tu lepiej... o! wybornie!—dodała opierając się wygodnie.—Wyglądam jak poważna prababka, prawda, panie Bronimirski?

Zdecydował się podnieść oczy i wnet je cofnął.

— Taaak...—rzekł cicho, z wysileniem.

Ożywienie chwilowe już go opuściło. znowu był przygnębiony jak przedtem. Usiadł na jej dawnym miejscu i podparł czoło dłonią; czynił dziś często ten ruch; zdawało się jakby głowa mu jakoś niezwykle ciążyła...

— Panie Bronimirski!

— Słucham panią...

— Nie odpowiedziałeś pan na moje pytanie...

Jesteś pan chory, czy zmartwiony?

Roman nie odpowiadał; zajęty był rozstrząsaniem ważnej kwestyi... Czyby nie można... ot tak! niechęć, uściśnić małą rączkę leżącą na poręczu fotela... przez chwilę, przez sekundę tylko... dziękując za tak jawnie okazane współczucie? Lecz gdy raz ta rączka będzie w jego posiadaniu, czy będzie miał siłę rozłączyć się z nią tak rychło? za uściśnieniem dłoni pójdą w ślad oczy, które mogą więcej powiedzieć niż by należało... Nie! nie można sobie tego pozwolić!

— Pan milczy? — mówiła po krótkiej pauzie, z widocznym smutkiem. — Byłam widać niedyskretną...

Roman już się przewalczył.

— Nie jesteś pani nigdy niedyskretną,—rzekł a w głosie jego czuć było ślady tej walki wewnętrznej.—Myślałem tylko, jakich słów dobrać, żeby pani wdzięczność okazać za jej troskliwość... i nie znalazłem ich wcale... Widać wdzięczność nie lubi ubierać się w słowa... Nie jestem chory, panno Janino...

— A więc zmartwiony...—dodała Janina smutnie pomyślawszy sobie, że zapewne to serdeczna troska o której dawniej wspominał...—O żal mi pana! mówiła dalej,—bo to gorzej niż choroba...

To mówiąc wyciągnęła ową pożądaną dłoń ku niemu, w ten sposób okazując swoje współczucie... Roman, jakby wcale poprzedniej walki nie stoczył, ujął tę dłoń podaną w obie swoje, tuląc ją z namiętną rozkoszą...

— Gdyby od pani zależało,—mówił pochyłony nisko nad tą szacowną zdobyczą, głosem w którym ledwie ukrywana radość brzmiała—

gdyby od pani zależało, panno Janino...—czy osłodziła byś pani moje cierpienie.

Na nią płomień uderzył, i serce mocniej za-  
biło...

— Naturalnie!—rzekła z prostotą choć drzą-  
cym nieco głosem. Był pan... od tak dawna  
dobrym dla mnie... a ja niewdzięczną nie je-  
stem...—umiem cenić życzliwość, do której mam  
mniejsze prawo niż kto inny...

Wtem, w oddali, dał się słyszeć przygłuszony  
turkot.

Janina się zerwała, ale zbyt mało jeszcze sil-  
na uczyniwszy ten szybki ruch, zachwiała się.

— Te panie wracają...—szepnęła, chwytając  
za poręcz fotela i odzyskując równowagę.—Mu-  
szę uciekać!

Roman milczał, ale wyglądał jak człowiek,  
który nagle ze szczytu marzeń, przeniesiony zo-  
stał do prozy życia.

— Do widzenia!—mówiła tymczasem Janina,  
skłaniając mu się z uśmiechem.—Wracam jesz-  
cze do mego więzienia, ale za parę dni już będę  
na dole!

Roman wstrząsnął się nagle.

— Za parę dni?—zawołał. Ależ pani jeszcze  
nie ma siły!.. — zaprzęgną panią do obowią-  
zków...—czyż można w takich warunkach zdro-  
wie odzyskać?—Pozostań pani jeszcze choć z ty-  
dzień w swoim pokoju...

Popatrzała na niego dziwnie, jakby rozczar-  
owana.

— Tak?...—rzekła powoli z namysłem. Bądź  
pan pewny,—dodała, że nie zejść dopóki dostatecz-  
nych sił nie będą miała...

To mówiąc odeszła, a jemu dziwnie przykro  
się zrobiło; czuł że ją dotknął mimowoli, że sło-  
wa jego inaczej zrozumiała, niż on tego pragnął.

Obejrzał się po balkonie, na którym sam zo-  
stał, wniósł z uszanowaniem prawie fotel przy-  
niesiony dla niej napowrót do biblioteki, i zagłę-  
bił się znowu w papiery, pragnąc wypłoszyć  
z głowy i serca myśl o małym *intermezzo*, które  
mu pracę przerwało.

— Romanie! Romanie!—rozległ się nagle głos  
Kamilli na korytarzu i wkrótce ona sama zarumieniona od szybkiego biegu ukazała się na pro-  
gu biblioteki. Wiesz?—zawołała, otrzymaliśmy  
telegram...—Natalia jutro przyjeżdża!

(Dalszy ciąg nastąpi).

## TEATR.

**Żabusia.** Sztuka Gabrieli Zapolskiej.

Sądzymy, że nie potrzebujemy zbyt się roz-  
szerzać nad doniosłością znaczenia, jakie ma  
Teatr. Jedni w nim chcą widzieć tylko rozry-  
wkę, inni pragną, by on był szkołą moralności  
i dobrych obyczajów, my zaś, jakkolwiek chęt-  
niej dajemy ucho podszeptom pierwszych, przez  
*rozrywkę* jednak, nie pustą rozumiemy zabawę,  
lecz pewien, konieczny spoczynek umysłowy,  
z którego coś dla serca i duszy wynieść powinni-  
śmy. Ale i ten spoczynek różnie przez różnych  
jest rozumiany. Niektórzy twierdzą, że kome-  
dy lub farsa, zmuszające do wesołości lub śmie-  
chu, mogą tylko jedynie ten spoczynek spro-  
wadzić; dramat zaś lub tragedia, zbyt silnie wstrzą-  
sające nerwami naszymi, nie opowiadają powyż-  
szemu celowi.

Błąd!

Odpoczynkiem ducha nie jest tylko przejścio-  
we, kojące wrażenie. Silne potrącenie czasem  
nerwów, daje mu rzutkość skoku naprzód; roz-  
budza myśl, pogłębia uczucie, dodaje śmiałości  
do czynów, wzmacnia energią, potrąca często-  
kroć jakieś struny spiące, przywołuje sny dawno  
rozwiązane, wzmacnia i dźwiga. Zadanie to speł-  
nia dramat i wielka tragedia — Ci, którzy  
hołdują tylko sztuce wesołej, nie odpoczynku  
dla duszy swej pragną, lecz snu jej. Komedia  
i tragedia są to dwie siostrzyce dopełniające się

wzajemnie: Pierwsza koi, druga przynagla,—  
lecz dla ducha ludzkiego są obie wypoczynkiem,  
wzmagającym jego żywotność i siłę. Poważnym  
więc jest zadanie Teatru, jeżeli nie ma zejść do  
znaczenia zwykłej budy jarmarcznej, gdzie ska-  
czą pajace a gawieź się śmieje.

Morał stanowczo być powinien wyrzucony ze  
sceny. On sam przez się wypłył ze sztuki do-  
brze zbudowanej, w której zagrdnie doskonałe  
odbicie życia, jego powaga lub płaskość, szla-  
chetność lub nikiżemność, nawet codzienna  
mierność, ten szary pył ziemski pokrywający  
większość dusz i serc.

Komedia przedstawia nam człowieka w jego  
codziennej szacie; w szlafroku i pantoflach. Dro-  
bnostki zabiegów, śmieszne przywary i wady,  
cnót odrobina i lajdactw odrobina, słowem to  
wszystko na co się składa powszedniość życia  
przesuwa się jak w kalejdoskopie przed oczyma  
naszemi. W tej barwie poznajemy siebie, w in-  
nej sąsiada—śmiejemy się często sami z siebie  
śmiejemy się i dobrze nam jest z tem, bośmy  
przeczytali książkę, z której kart i nasz własny  
wyjrzał wizerunek i przemówił do nas, naszych  
przywar śmiesznością. Bez kropki nad i morał  
stanie przed nami—i zawsze jakieś dobre ziarno  
w sercu zostawi.

Poważny dramat sięga dalej.

On, jak nóż chirurga zagłębia się do tajnego  
wnętrza naszej istoty. obchodzą go już niewiele  
powszednie grzechy, drobne zabiegi około spraw  
codziennego życia, małe cnoty i małe zbrodnie.  
On chwytą duszę w jej szerszych przejawach,  
dobywa barwy pełne, bez względu czy liljową  
srebrną się bielą, czy odstrasza czarnością, czy  
świecą krzyczącą czerwienią. Nie ślizganie się  
ludzi po powierzchni fal życia, lecz wznoszenie  
się nad nie, lub zapadanie w ich odmęty—przed-  
stawienie walki, zwycięstw lub upadków, za-  
daniem jest dramatu. Tu już brzmi pieśń wznio-  
sła składająca się z dźwięków tryumfalnych hy-  
mnow lub akordów nieszcześć. Więcej tam lez  
niż śmiechu, ale jeżeli śmiech się odezwie, to  
zadrza zgrzytliwą nutą dyssonansu, potęgując  
nieraz grozę wrażenia, w zestawieniu wzniosłości  
z płaskością.

Tragedya wielkich uczuć i namiętności, łama-  
nie się orlich porywów, upadek bohaterów spo-  
wodowany fatalnością wypadków lub konse-  
kwencją czynów działających osób, czynów nie-  
zrozumianych przez otaczający a obojętny  
ogół—mimowoli wzbudzą w nas pewną myśl fi-  
lozoficzną, zmuszą do zastanowienia się nad  
smutną zagadką życia, która wciąż tajemnicza,  
nierozwiązana, wielka staje przed nami.

Nic nie ubliża komedii ta tragedia podniosło-  
ści. Komedia nawet jest więcej lubiana, bo wię-  
cej zrozumiana przez ogół. Prawda, że gdzie  
a gdzie, to u nas trudno byłoby do tragedji się  
przyzwyczaić. Nasz Teatr od dawna zapomniał  
o stanowisku, jakie powinien zająć, jako jedyny  
u nas teatr polski. Od sporo już lat poziom jego  
wciąż się obniżał, coraz mniej oryginalnych po-  
jawiało się utworów, na scenie wielkiej kiedy  
niekiedy zawitał „Mazepa“ Słowackiego, w Roz-  
maitości panowali tylko: Zalewski i Lubowski,  
wreszcie doszło do tego, że na deskach wspo-  
mnianego wyżej teatru prawie wyłącznie zapa-  
nowała komedia francuzka, albo dramat mie-  
szczański, niemiecki.

Gdzie się twórczość swojska podziła?

Teatr polski, a cóż w nim polskiego było?..

Jakieby o sztuce naszej mógłby wynieść wyo-  
brażenie Anglik, Francuz, Niemiec, gdyby zje-  
chawszy do Warszawy, chcieliby zobaczyć ów  
teatr polski?

We wszystkich stolicach świata, pierwszeń-  
stwo zawsze się oddaje utworom własnym. Au-  
tor, widząc dzieło swoje na deskach teatralnych,  
dostrzega łatwo usterki, zapoznaje się z tech-  
niką sceniczną, a zachęcony przez przyjaciół i  
ogół życzliwy, bierze się do dalszej pracy, twor-  
zy coraz lepiej, zyskuje uznanie, nieraz sławę.

U nas talentów nie brak było, lecz bodźca do  
pracy, zachęty ucziwej do dalszych trudów;  
u nas brak było zamiłowania do swojszczyzny.

Niestety!

Nie arcydziela widzieliśmy na scenie naszej;  
tłusta farsa, głupia komedia nierządkiem były  
zjawiskiem. Przyjść z projektem dramatu albo  
tragedji to ze śmiałością graniczyło niemal.  
Dramat? ale, przecie, publiczność chce się ba-  
wić!.. Tragedya—to jedno coby pustki w tea-  
trze zobaczyć.

Mówiono tak i we własne uwierzono słowo.

Nie lada do zgryzienia orzeszek miał p. Ła-  
dnowski, objawszy kierownictwo dramatycznej  
sceny. Nie dziwimy się, że mimo szczerej chęci  
podniesienia teatru, sam nie wiedział, jakim  
jest gust publiczności. Odegrzewać sztuk star-  
ych nie chciał, zagraniczne nowości nie prze-  
chodziły granic miernoty, a niezachęcane niczem  
swojskie talenty drzemały. Czuł jednak, że ja-  
kąś stanowczą próbę uczynić potrzeba—zebrał  
się więc na energię i—przedstawił dramat ory-  
ginalny, w pięciu aktach pisany...—wierszem ry-  
mowanym.

Próba się udała.—„Turniej“ Kozłowskiego od-  
niósł zupełny tryumf. Odsądzona publiczność  
od myśli poważniejszej tłumnie napełniła teatr.  
Wywoływaniem autora i reżysera dała wyraz zu-  
pełnego swego zadowolenia i powiedziała czego  
chce, czego się spodziewa od nowego kierownika  
sceny, inaczej mówiąc, dodała bodźca zamiarom  
samego reżysera, dodała mu śmiałości i otuchy  
w przeprowadzeniu pewnych, może zasadniczych  
zmian w repertuarze.

Pana Ładnowskiego nie olśniewają znane już  
nazwiska. Szuka on nowych ludzi, nieznanych  
zupełnie talentów; spokojnie i wytrwale idzie na-  
przód, mając na myśli tylko dobro sceny, która  
przecie jest naszą i powinna naszą pozostać. Nie-  
udane próby młodych autorów nie powinny go  
zrażać. Z drobnego ziarnka ładny nieraz kwiat  
wyrasta, a miłszy jak nasz leśny dzwonek od  
bezwonnej komedji. Lecz cierpliwości—i róż  
nie zbraknie.

Rok bieżący dał nam kilka oryginalnych no-  
wości. Nie będziemy wspominali o nich, jako  
o rzeczy już znanej, natomiast przejdziemy do  
sztuki pani Gabrieli Zapolskiej, sztuki, której  
tytuł: „Żabusia“ położyliśmy na początku  
niniejszego sprawozdania.

Niewłaściwem byłoby tu mówić o talencie pi-  
sarskim pani Zapolskiej. Można się zgadzać lub  
nie zgadzać ze sposobem traktowaniu przez nią  
przedmiotu, lubić lub nie lubić jej powieści, co  
jest już rzeczą gustu i szkieł, przez które patrzy-  
my na świat i dzieje jego—lecz jest to talent nie  
byle jakiej miary, który w literaturze naszej  
znajdzie odpowiednie dla siebie miejsce. Ale  
można powieściopisarzem być dobrym, złym zaś  
komedjopisarzem—i vice versa.

No tak!

Jakże jest ze sztuką pani Zapolskiej?

Znajdujemy się w Warszawie, w mieszkaniu  
p. Jana Bartnickiego, dawnego possesora gdzieś  
na Wołyniu. Dobrze mu tam było, gdzie wraz  
z siostrą Maryą oddany ulubionemu swojemu go-  
spodarstwu, czas spędzał. Lecz oto u sąsiadów  
poznał Heleną Milewską, pieścioszkę rodziców,  
zakochał się i dozgonnym połączył się z nią  
węzłem.

Ale „Żabusia“ — tak zwana przez rodziców,  
a później przez męża—wychowanka miasta tę-  
skniła na wsi do Warszawy, do zabaw i beczyn-  
nego życia. Pan Jan „Rakiem“ przez żonę na-  
zwany, czyniąc zadość ukochanej pieścioszce,  
związa ulubione gospodarstwo i wraz z siostrą  
i ukochaną żoną swoją przenosi się do miasta.  
Panna Marya, nie mogąc być już bratu w ni-  
czem pomocną, pracuje sama na siebie przy tele-  
grafie—p. Jan biurowe ma zajęcie, a Żabusia...  
dni całe za domem przepędza, powraca do domu  
zapóźno, nie wzbudzając podejrzeń żadnych  
w wierzącym jej nadmiernie mężu.

Deszcz, mroź—Żabusia niema, p. Jan w oczekiwaniu na żonę huśta na kolanach czteroletnią  
córeczkę, którą matka pieściotliwie „Nabucho-  
dozorem“ przezwała. Nie oddaje nianiec dzie-  
cka, bo Żabusia kazała mężowi je pilnować...  
Bawi się więc z Nabuchodozorem posłuszne  
mężysko, oczekując z niepokojem pewnym prze-  
bicia żony.—Aż to się nie żona zjawia, lecz pani

Maniewiczowa, sąsiadka najbliższa (boć jeden nawet balkon łączy jej mieszkanie z mieszkaniem Bartnickich) i—przyjaciółka Żabusi.—Ta pani, dziwną jakąś rozmowę z panem Janem zaczyna, tłomaczyć mu, że „kłamstwo w życiu jest częstokroć niezbędnym warunkiem pokoju.“—Rada jest zawiązać flirt z nierozumiejącym jej manewrów wieśniakiem, który nie domyśla się tego, co staje się już dla widza pewnikiem, że Żabusia nie jest warta miłości poczciwca. Po wyjściu sąsiadki zjawia się siostra pana Jana. Niechęć jej do Żabusi upewnia widza, że cichy dramat odbywa się w życiu Bartnickiego.

On nie może zrozumieć niechęci siostry do bratowej, kładzie to na karb staropanieństwa, lecz się dowiaduje, że Marya kocha zacnego i rozumnego człowieka.

Doskonale jest tu przeprowadzony dyalog pomiędzy rodzeństwem. Rozmowa zwraca się do wspomnień, do tych jakichś dni lepszych spędzanych na wsi. Marya zasiada do fortepianu, z pod palców jej wybiega dumka rusińska, brat jej wturuje półgłosem, siedząc w fotelu, potem zaczyna gwizdać i gwizdząc wstaje, w jakimś zamysleniu przechadzając się wzdłuż pokoju.

Mała scena jest wzięta wprost z życia—prześliczna, technąca niewymowną poezią wspomnień. Lecz oto wchodzą starzy Milewscy, po chwili odzywa się dzwonek—to Żabusia.—Witana okrzykiem rodziny, wbiega, widocznie podniecona wycieczką;—mało zważa na słowa Maryi, że włosy ma w nieładzie... wita się z „Rakiem“ za którym zateśkniła porywa dziecko w objęcia, i rzucając się na kolana uszczęśliwionego męża oddaje się swobodnie zabawie w kółku rodzinnym.

Akt drugi pokazuje nam Żabusię bawiącą się z dzieckiem... Rozstawia na ziemi Nabuchodonozorowi zabawki i—myśli o chwili spotkania z niejakim panem Juliuszem—który ma tu być, korzystając z nieobecności Bartnickiego i Maryi, którzy wyszli w sprawie pewnej do reagenta. Żabusia przed tem zwierzyła się swej przyjaciółce, że—Juliana poznała w Botanicznym ogrodzie, że—dziś mu być on u niej, (nie wiedząc jednak jej nazwiska). I pan Julian zjawia się—ale za ledwie przemówili banalnych słów parę do siebie—dają się słyszeć kroki powracających: Jana i Maryi. Przerazenie Żabusi nie ma granic...—Pan Julian ucieka na balkon, Żabusia zmieszana—lecz Marya spostrzega cień mężczyzny na balkonie.

Jak uratować siebie—to pierwsza jest myśl Żabusi. Od czegoż kłamstwo... ba! tu więcej niż kłamstwo występują, potwarz—podłość. Wmawia w męża, że tam się ukrył kochanek jej przyjaciółki, i prosi Jana, by wyprowadził go z zasadzki i tem uratował honor p. Maniewiczowej. Poczciwie głupi Jan—słucha żony, Julian wychodzi z balkonu, ale w tym gagatku poznaje Marya—swojego narzeczonego... Rak wyprowadza Juliana, Marya, rzucając obelgę w oczy Żabusi, pada zemdlona.

Na tem się kończy akt drugi.

Zdradzona Marya dostaje zapalenia mózgu. Bartnicki odwiedza chorą—i dowiadują się kto był ów mniemany kochanek Maniewiczowej. Pierwszego dnia, na żądanie Maryi, zanesiono do niej Nabuchodonozora. Żabusia oczekuje z niecierpliwością na opóźniający się powrót dziecka, lecz zamiast dziecka przychodzi Marya, smutna, blada, zgnębiona, z zawiadomieniem, że dziecko zostanie przy niej.—Odda je—lecz pod warunkiem, że Żabusia uczyni przed mężem zeznanie. Żabusia dopełnia tego strasznego warunku dla odzyskania dziecka. Jan nie wierzy zrazu słowom żony, choć ona w łzach się roztopia i pada zemdlona. Pyta siostrę czy to prawda. Siostra potwierdza, a usta jej nigdy nie zmazały się kłamstwem... Rozpacz Jana wylewa się w łzy... „Dla czegoście o tem mi powiedzieli,—szepce—byłem tak szczęśliwy!“ Te słowa przekonywają Maryę, że lepiej było ukryć prawdę. Nachyla się więc do brata i szepce.—„To figiel—nudziłyśmy się i żart taki do głowy nam przyszedł!“ „To figiel“—każe powtórzyć i Żabusia,—która wnet zaprzecza swojemu zezna-

niu... I „figiel“ odnosi tryumf, właściwie tryumf odnosi—kłamstwo. Naiwny pan Jan wierzy, że to figiel—harmonia powraca—wchodzą rodzice Żabusi i cała kompanijka zasiada do gry w loteryjkę...

I na tem kończy się sztuka.

Czem więc ona jest?

A no—potwierdzeniem słów Maniewiczowej, że „kłamstwo w życiu jest warunkiem spokoju.“ Smutna byłaby prawda, gdyby prawdą była...

Pani Zapolska pokazała nam jakiś świat wstrętny. Czysta jest tylko Marya, lecz i ją zwyciężyło—kłamstwo. Poważny i rozumny Julian—(wiemy o tem wprawdzie tylko z zapewnienia Maryi i Żabusi.)—dla głupiej zalotnicy zdradza zącą dziewczynę; Maniewiczowa, której nie oburza nawet oszczerstwo Żabusi—należy do klasy ludzi, dla których drzwi domów uczciwych są zaparte; stary Milewski, przyznający się do grzeszków i wygłaszający zdanie, że „aby tylko o nich nie żona nie wiedziała—wszystko jest w porządku“—zawstrętnym nam się wydał—a pan Jan, ów poczciwy pan Jan—toć skończony idyota, nierozumiejący, że figiel jest za nieprawdopodobny, nie mówiąc już, że byłby—za—ohydny.

Żabusia jest najlepiej skreśloną nostalgicą. Głupia, aż do końca swych palców—bez żadnego poczucia moralnego, płaska do rozpacz. Nie ratuje jej nawet wielkie przywiązanie do dziecka.

Pod względem budowy scenicznej, sztuka niezłe jest napisana—jako utwór literacki ostrza krytyki nie wytrzyma, lecz pani Zapolska dała nam dowód, że gdyby zechciała, mogłaby napisać rzecz bardzo dobrą. Lwi jej pazurek i w tej jej pokazał się robocie.—Wynieśliśmy tylko wrażenie, że rzecz cała była pisana za pośpiesznie, bez zastanowienia się nad momentem psychologicznym, który by zachwiała wiarę do żony w Bartnickim mógł na nowo przywrócić. Żabusia była graną wybornie. Frenkel, Barszczeńska i Czaki zasłużone zbierali oklaski.

K. Gliński.

## Korrespondencja ze Lwowa.

Kronika działalności kobiecej nie grzeszy u nas jałowością i nie może się użalać na brak aktualnych wiadomości. A ten stan datuje się już od dłuższego czasu. Świadczy to tylko pochlebnie o wytrwałości usiłowań kobiecych i nieustającej pracy w postępie w dobrem. Twierdzenie powyższe da się zastosować równie dobrze do przemysłu, jak do literatury i nauki, jak również do sztuki. Ta dążność do zrównoważenia owoców pracy kobiecej z owocami pracy męskiej przejawia się wszędzie—jest zatem współbieganie się natury szlachetnej, obok nieuniknionej walki o byt. Przejdziemy po kolei ważniejsze wypadki.

Wiadomo już z poprzednich wzmianek Czytelniczkom, że uniwersyteckie kursa dla kobiet we Lwowie zaobfitowały w słuchaczki wszystkich sfer: są tu takie które przyjeżdżają powozami, są takie, które ułatwiają sobie drogę tramwajem elektrycznym ale są i takie, które z konieczności dążą do odległego instytutu chemicznego *per pedes apostolorum*, to wszakże nie przeszkadza im wcale, mają bowiem zapał do nauki i sztuki także, gdyż zdarzyło się nam nieraz zauważyć, jak pośpieszają na każdą premierę do teatru, żeby to zaś niezbyt kosztowało, bo na to, ich nie stać, kupują bilety najtańsze, na jaskółkę. Zkąd się to usilne dążenie bierze? Ze świadomości celu. Jest bowiem w tej świadomości magiczna siła, że wspomniemy tylko tutaj słowa Stanisława Grudzińskiego, który śpiewał o życiu, jego troskach, zawodach, bólach i jego blaskach i urokach. Oto powiada w wierszu „Chwile i lata“—o mło-

dych dążeniach tak: „A młodość tę i szczęście młode zachować można aż do końca i wieczną w duszy mieć pogodę i wieczny lot, ów lot do słońca. Lecz trzeba mieć przed sobą wiecznie cel wielki, święty ukochany, coby rozpraszał nam słonecznie, żywota chmury i tumany.“ Słowa to doniosłego znaczenia i nie godzi się ich nikomu zapominać. Kobiety coraz dobitniej pojmują tę ważność celu. Schodząc wszakże z Parnasu na ziemię, dodajemy, że ta wytrwałość i zapał słuchaczek kursów akademickich, skłoniły collegium profesorów uniwersytetu lwowskiego do uchwały, powziętej na ostatniej w lutym konferencji, że nauczycielki wszystkie, mające patenta egzaminów wydziałowych mogą być nadzwyczajnymi słuchaczkami uniwersytetu, zaś te, które posiadają świadectwo dojrzałości z matury gimnazjalnej mogą być słuchaczkami zwyczajnymi. Zatem niebawem, gdy uchwała ta wyjdzie poza mury akademii i *orbi et urbi* ogłoszoną zostanie, będą sobie mogły kobiety powiedzieć: Zwycięstwo! Dla tych, którzy wiedza, jej nabywanie i ukochanie wypełniają przeważnie życie, będzie to w istocie wieść radośna, a dla ogółu pożądana. Ale gdy już o dążeniu kobiet do nabywania coraz to wyższej i rozleglejszej wiedzy mowa, niepodobna pominąć milczeniem zgromadzenia w lwowskiej Czytelni dla kobiet, zainicjowanem przez ukonstytuowaną na poczekaniu „Komitet Matek“ pod przewodnictwem pani Heleny Szczepanowskiej; rzucił on nad koniecznością założenia gimnazjum żeńskiego publicznego we Lwowie. Owocem owych obrad była petycja do Sejmu wystosowana, a domagająca się założenia takiego gimnazjum ze względu na następujące powody: 1) podniesienie ogólnego poziomu umysłowości kobiet; 2) rozszerzenie zakresu i środków zarobkowania, w obec coraz trudniejszych warunków ekonomicznych, w obec konieczności, w jakiej się dziś większość kobiet znajduje zapewnienia sobie samodzielnego bytu, a częstokroć i niesienia pomocy rodzinie; 3) uzyskanie praw i kwalifikacji do wyższych szkół fachowych, jakoteż do studyów uniwersyteckich, zwłaszcza medycznych, w obec stwierdzonej powszechnie potrzeby kobiet-lekarek, oraz konieczności przysposobienia nauczycielek dla żeńskich szkół wydziałowych i średnich, a także zajmowanie wyższych stanowisk zarobkowych, w zawodzie aptekarskim, przy pocztach, telegrafach i innych urzędach. Petycja ta zaopatrzona została w cztery tysiące podpisów tak kobiet, jakoteż mężczyzn. Na zgromadzeniu między innymi podniesiono słusznie i ten szczegół, że konieczności potrzeby założenia gimnazjum żeńskiego dowodzą już choćby istniejące prywatnie gimnazya dla dziewcząt we Lwowie u p. Strzałkowskiej przy pensjonacie i w Krakowie przez profesorów założone. Oba liczą mimo bardzo trudnych warunków istnienia uczenie jak na pierwszy rok nie mało, gdyż krakowskie ma przeszło 30 uczennic, a lwowskie około 50. A są to przecież gimnazya płatne, zatem otwarte tylko dla tych, którzy posiadają środki kształcenia się. Do zakresu rozszerzania wiedzy policzyć także musimy bardzo zajmujące wykłady pani Wyczółkowskiej z psychologii eksperymentalnej w Czytelni dla kobiet.

Nie brak im gorliwych słuchaczek i słuchaczów. Przechodząc z pola nauki w dziedzinę sztuki, musimy przedewszystkiem podnieść operę naszą, szczytującą się w sezonie obecnym pierwszorzędnymi siłami, a ztąd też i niebawem dotychczas we Lwowie powodzeniem, do czego jednakowoż przyczyniają się zabiegi i starania dyrekcji, która zwalczywszy wiele niechęci ku sobie, przełamawszy pierwsze i najtwardsze lody prowadził teatr wzorowo pod każdym względem. Z pomiędzy kobiet artystek należy przede wszystkim wymienić takie nazwiska, jak panny Bohussówny i Korolowiczówny, dalej pani Camillowej i Kasproviczowej. Pomiedzy artystkami—śpiewakami pierwsze miejsce zajmuje pan A. Bandrowski i A. Myszuga.

A teraz jeszcze rzut oka na repertuar. W dramacie nie brak nowości; grano *Amulet* młodo zmarłego W. Sawiczewskiego, którego sztukę

„Na bezdrożach”—nagrodził Wydział krajowy na konkursie. (Amulet jednak pod względem literackiej wartości stoi od komedy konkursowej wyżej) Grano *Matki* Hirszfelda młodego komedyopisarza niemieckiego, obecnie zaś po dawniejszej „*Sprawie kobiet*.” M. Bałuckiego wystawiono „*Niewolnice z Pipidówki*.” Bałucki w tych dwu ostatnich komediach nie idzie z postępem czasu i nie trzyma ręki na pulsie społecznym, jak to jest obowiązkiem każdego powieściopisarza. Nie czuje tego, że ruch kobiecy jest wywołany koniecznością ekonomiczną i dążeniami umysłowości kobiet—jemu się wciąż zdaje, że to jeszcze tak samo jak dawniej, wyrwanie się nielogiczne, naprzód i pieczętowanie sprawy śmiešnością... a tymczasem nad tym faktem przepływają dziesiątki lat. Z biegiem i rozpędem czasu zmienia się jego fizyognomia, jego myśl i jego mowa,—a utwory literackie i artystyczne tej mowy czasu są tłomaczami, a przynajmniej niemi być powinny. Przechodzimy na pole przemysłu i pracy rąk. I tu to samo piętno gorliwości i niezmordowanej pracowitości kobiet. Nieustająca wystawa przemysłu krajowego, ma tych okazji pracy i przemysłu kobiecego bez liku. I tak pojawiły się tu w ostatnich czasach toaletowe mydła ze szkoły gospodarstwa domowego i wiejskiego, jenerałowej hr. Zamoyskiej z Kuźnic pod Zakopanem, (wyrób staranny, z zapachem ziół tatrzańskich, opakowane w drzewnej cellulozie, a wiązane łączkiem) serki tatrzańskie wyrobu p. Ziembickiej, ręczniki i serwety wyrobu p. Lewandowskiej z Reklina i t. d. i t. d. Również ważnym wypadkiem czasów ostatnich jest rozszerzenie Stowarzyszenia „pracy kobiet” i jego działalności, przez dodanie do szwalni i bazaru także domu opieki dla robotnic. Ze schroniska tego mają wprawdzie prawo korzystania tylko członkowie, ale członkiem zostać nie trudno, gdy Wydział stowarzyszenia przyjmie, a obowiązek opłacania korony (50 cent.) niespełna pół rubla rocznie nie będzie pewno w tem przeszkodą. Zresztą obszernej o tem w przyszłej pogadance—zaś obecną zamykamy gorącym „Szczęść Boże” wszystkim dobrym usiłowaniom.

Janina S. Aleksota.

## NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Obejrzawszy fortecę i osadę angielską, zacząłem patrzeć bardziej na lewo, w stronę portu, gdzie dojrzałem mnóstwo okrętów i łodzi żaglowych—te ostatnie mocno się kołysały na falach— a gdzie mogłem widzieć całe życie, która tam wrzało w tej chwili. Widziałem więc, jak pracowały windy parowe, podobne do żorawi; widziałem ludzi dźwigających towary, a którzy, uginając się pod ciężarem, robili wrażenie pracujących mrówek; widziałem marynarzy, jak się uwijali pomiędzy linami masztów; widziałem olbrzymie barki węgla, stojące przy okrętach, które się zaopatrywały w paliwo; widziałem mnóstwo wozów z towarami, zaprzężonych w olbrzymie konie, a z wolna posuwających się po bulwarze portowym; a kiedy spojrzałem trochę niżej, widziałem morze, które w tej chwili było takiego koloru, jak spłowiałe sukno bilardowe, gęsto

nakrapiane białymi plamami od stearyny. Te stearyny były spienione grzywy bałwanów, które, podbijane wiatrem, rosły z każdą minutą, przewalając się jedne na drugie.

Stojąc tak, piersiami wsparty o burt, z lunetą przy prawem oku, i patrząc na te bałwany, zacząłem błogosławić naszego kapitana, że mi poradził zostać na okręcie, a jednocześnie zaczynałem żałować tych wszystkich, co się okazali mniej roztrępanymi odemnie. Z góry widziałem, że będą mieli nieprzyjemny powrót, to zaś, co w tej chwili oglądali w Gibraltarze, z pewnością nie mogło wynosić wiele więcej, niż to, co ja widziałem przez lunetę, z pokładu okrętowego.

Tymczasem pogoda stawała się coraz nieznowniejsza. Wiatr przemienił się w wicher, chmury zaczęły się opuszczać coraz niżej, tak, że w końcu nakryły wierzchołki gór okolicznych, a skałę Gibraltaru przesłoniły, aż do połowy; morze szumiało coraz głośniejsze; okręt zaczynał się chwiać coraz mocniej, deszcz zaczynał padać coraz gęstszy, tak, iż chcąc dłużej pozostać na pokładzie, musiałbym do kajuty zejść po parasol, a zimno zaczynało być jak, jak w listopadzie. Czulem, że kostnieję, że chwila jeszcze—a zaczęną, szczerkać zębami, że mi ręce grabieją, i że nawet w palcie jesiennym, które miałem w paskach, jeszcze by mi nie było dosyć ciepło.

Powyższe względy sprawiły, że zeszedłem do kajuty, do sali jadalnej, gdzie właśnie zaczynało nakrywać do obiadu. Usiadłem przy fortepianie, pograłem chwilę, z powodu jednak, że pianino znajdowało się w samym końcu, sali, t. j. w miejscu, najdalej wysuniętem na przód okrętu, a więc najbardziej wrażliwym na jego coraz większą chwieję, doznałem takiego wrażenia, grając, jak bym razem z pianinem znajdował się na jakimś niepewnym, a ruchomym gruncie, który się nieustannie zapada i unosi, raz w prawo, raz w lewo, raz na dół, raz do góry. Oczywiście, że nie była to okoliczność, sprzyjająca grze na fortepianie, jakkolwiek nie dało się zaprzeczyć, że była to okoliczność rozmarzająca... Swoją drogą zaczynała mnie chwilami dręczyć obawa, aby to fizyologiczne rozmarzenie nie skończyło się na morskiej chorobie, co przy wzmagać się kołysaniu wcale nie należało do nieprawdopodobieństw. W przewidywaniu tej przykłej ewentualności, wobec której, będąc na wzburzonym morzu, jest się bezsilnym, choćby się posiadało najsilniejszą wolę, zamknąłem pianino, a kiedy powstałem z taburetu, przekonałem się, że już zwykle chodzenie było nie wystarczającym, że na to, by utrzymać równowagę, należało przestępować z nogi na nogę, a czasami pomagać sobie rękoma, tak, jakby się chodziło po wąskiej belce. Jednocześnie uczulem, że mi głowa zaczyna ciężać, zwłaszcza z tyłu. Oj, źle! pomyślałem sobie, przechodząc wzdłuż nakrytego stołu, na którym zauważyłem nowy szeregół w nakryciu: oto dokoła stołu, który dwóch lokajów kończyło nakrywać, ujrzałem rodzaj drewnianej galeryjki, a równoległe z nią, za talerzami, dwie długie drewniane przegródki; zrozumiałem, że jest to znak, wróżący obiad z przygodami, podczas którego talerze i butelki i szklanki, jeśli się nie posuwają na podłogę, to tylko dzięki swym przegródkom i galeryjce. Zauważyłem również,—na co poprzednio nie zwróciłem by uwagi że krzesła od środkowej strony były przysrubowane do podłogi. „Cóż, zanoszą się na burzę?” zapytałem się jednego z lokajów, z którym od pierwszej chwili byłem dobrze (od chwili zwłaszcza, gdy się dowiedział, że ostatnie lato spędziłem w Bretanii, w okolicach St. Malo, które było jego miastem rodzinnym). „Burzy zdaje się nie będzie, odrzekł zapytany, ale jest wiatr, który w nocy pewno będzie jeszcze sil-

niejszy, niż teraz.” Przepowiednia, że zanoszą się na jeszcze silniejszy wiatr, nie uspokoiła mnie, bo i ten, który dał obecnie, wydawał mi się bardzo zawziętym, wnosząc z monotonnego skrzypienia ścian okrętu. Słuchając tego skrzypienia, które nie ustawało ani na sekundę, miało mi wrażenie, że okręt stęka ciężko, zmuszony zmagać się z jakąś niewidzialną, a brutalną siłą, niewidzialną siłą był wiatr, którego przeciag wycie, pomieszane z coraz głośniejszym szumem bałwanów, raz poraz dawało się słyszeć, pomiędzy zamkniętych okien i drzwi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z bieżącej chwili.

— Tegoroczne odczyty w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa na rzecz Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności cieszą się powodzeniem zupełnym. Na drugim z kolei odczyt, w głoszonej przez prof. J. I. Boguskiego, a z tytułem: „Energia promienista,” widzieliśmy znów tłumy publiczności, pragnącej znać się z wynikami badań najnowszych z dziedziny z najciekawszych i najtrudniejszych zagadnień fizyki dzisiejszej. Po obszernym wstępie, w którym prelegent zwrócił uwagę na dwa sprzeczne, lecz uzupełniające się wzajemnie kierunki, charakteryzujące obecny stan wiedzy nowoczesnej, a mianowicie drobiazgową specjalizację w łonie poszczególnych nauk z jednej strony, a dążenie do uogólnień, mających na celu ujęcie wiedzy naszej w pewne systemy stałe, z drugiej,—zapoznaliśmy się z dwoma strakcyami, określającymi cały nasz byt, a mianowicie materią i energią. Pierwsza z nich, zniszczalna w swojej istocie, już tem, co nas otacza, co było przed nami, jest i będzie zawsze, jednym słowem wszechświat cały i druga—leż w materii, jest od niej nie odłączną i czyniła podatną do ruchu. Poglądowe wyjaśnienie pojęcia energii potencjalnej (położenia) i energii kinetycznej (widzialnego ruchu) stanowiło przedmiot drugiego odczytu, w którym prelegent, opierając się na szeregu doświadczeń Hundt'a, James Clarke Maxwell'a, prof. Hertza w Karlsruhe i innych uczonych, wyprowadził wniosek ostateczny, sformułowany w zdaniu: „w przyrodzie niema ani ciepła, ani światła ani elektryczności,—są tylko falowania eteru. Głos, równie, jak ciepło i światło jest jedynie drganiem eteru w różnych postaciach, przy różnych napięciach energii. Bliższemu zapoznaniu publiczności z istotą mało znanych promieni Roentgena zakończył prof. Boguski swój odczyt, zamykając go wzmianką o pracy Berthelota p. t. „Nauka i moralność w r. 2000” gdzie znakomity uczonec francuzki wykazuje, że postęp nauk oderwanych jest ściśle związany z moralnością. Wykład szanownego prelegenta ilustrowany był szeregiem interesujących doświadczeń, które rzecz samą uprzyępniały znakomicie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza” dołączył się: arkusz 6 i 7 powieści p. t. *Taqisara*, autorstwa Książę Saracinesco (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

**Treść:** Józef Korzeniowski, przez J. Nitowskiego (z portretem).—Asnyk jako autor dramatyczny, przez P. Chmielowskiego (dalszy ciąg).—Sielanka, przez St. Rossowskiego.—Na łasce. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg).—Teatr, przez K. Glińskiego.—Korespondencja ze Lwowa, przez Janinę S. Aleksotę.—Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg).—Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** *Taqisara*, powieść przez autorkę powieści Książę Saracinesco (F. Marion Crawford). Arkusz 6 i 7. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.